



Wacław Żelazek

część VI z VII

Sygnatura notacji: **N0076**
Data urodzenia: **16.09.1919 r.**
Data nagrania: **17.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała, Anna T. Pietraszak**
Czas nagrania: **cz. I: 58 min, cz. II: 59 min, cz. III: 60 min, cz.IV: 60 min,**
Format nagrania: **video** **cz.IV: 60 min, cz.V: 59 min,**
Język nagrania: **polski** **cz.VI: 60 min, cz.VII: 61 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wacław Żelazek: Dobrze, więc 27 kwietnia zorganizowali ojcowie werbiści, z bratem Piotrem na czele, piękną pielgrzymkę, o której ja zawsze śniłem, marzyłem, żeby pojechać, ponieważ nie mogłem pojechać do tych Indii z powodu odległości i niemożliwości za życia mego brata. Ale marzyłem przynajmniej po śmierci. Nie udało się na pogrzeb pojechać, ale za to Bozia sprawiła, że w pierwszą rocznicę śmierci z tą pielgrzymką, ludzie wspaniali, bo to byli senatorowie, lekarze, profesorowie i udało się pojechać, więc najpierw z Warszawy do stolicy Finlandii do Helsinek i tam przesiadka na olbrzymi fiński samolot, ale takim samolotem wielkim to ja w życiu jeszcze nie latałem. Ja obliczam, że tam było 800 pasażerów co najmniej. No i bezpośrednio chyba lotu było całego sześć godzin. Z Helsinek znaleźliśmy się w New Delhi. W New Delhi przesiadka na samolot indyjski, który zawiózł nas aż już niedaleko Puri, jakieś 60 kilometrów od Puri do miejscowości Bhubaneswar. I tam już spotkaliśmy wysłannika sławnego, następcę ojca Mariana z Puri, księdza ojca Kuriana. Werbistę, Hindusa, wspaniały człowiek. Możecie sobie państwo wyobrazić moje spotkanie z tym człowiekiem, z którym już rozmawiałem telefonicznie, ponieważ on studiował czy skończył studia we Włoszech, więc bardzo dobrze mogliśmy się porozumieć po włosku. Tymczasem później się dowiedziałem, że nie tylko znał włoski, ale i hiszpański. A później mi nawet oznajmił, że był u mnie w domu w Argentynie, w moim domu. Bo on widocznie po studiach czy tam po pobycie w Rzymie później pojechał odwiedzać wszystkie placówki werbistowskie po świecie, a w Argentynie tam bardzo dużo placówek mają i to wspaniałych placówek właśnie werbiści polscy. No i tylko że jak tam werbiści, z racji tego, że mój sławny brat, ojciec Marian, werbista, ich wielki misjonarz to oczywiście mnie tam wszyscy odwiedzali werbiści, polscy przynajmniej. No, mówi, że zna mnie, już tam było przemile spotkanie. I później jak mnie raz dostał w ręce i nie tylko mnie, ale całą tę pielgrzymkę czternaścioro osób, to był nasz anioł stróż ten ojciec Kurian. Tak się nami opiekował, mną specjalnie, że ja nie raz byłem naprawdę zaże-

nowany. Czy w tych ambulansach, czy w samochodach, gdziekolwiek jechałem, mnie posadził zawsze na honorowym pierwszym miejscu. Wszyscy, reszty tam pielgrzymi po tyłach gdzieś, a ja musiałem siedzieć na pierwszym miejscu. Ja byłem zażenowany najpierw, ale później mnie to... trochę krępowało najpierw, ale później byłem trochę zły, bo ja usiadłem sobie, tam gorąco, w koszulce tylko, spocony nawet, a ten szofer, tak pewnie tam używają, puścić mi strumień nie zimnego powietrza, tylko lodowatego powietrza i to prosto na moje piersi, to myślałem, że mnie szlag trafi, że coś, ale Maryś widocznie, nie ma już, tak mnie upilnował, że do tego Puri zajechaliśmy szczęśliwie, bardzo ładnie, i pierwsza rzecz, po rozpakowaniu się w tym nowym aszramie ojca Mariana, od razu poszliśmy się do małego aszramiku. Tam, gdzie on mieszkał na końcu, gdzie była jego pierwsza siedziba taka w Puri i pierwsze nabożeństwo było w tej jego kapliczce tam, wspaniałej kapliczce, która kiedyś będzie naprawdę monumentem jakimś muzealnym. No i tam pierwsza cała nasza pielgrzymka, pierwsze nabożeństwo takie dziękczynne za przyjazd, za dojazd. Ale tylko dla nas był, ten ojciec Kurian prowadził, no i myśmy mieli kapelana werbistę, który jechał z nami, no i cała nasza pielgrzymka. A później kolacyjka, rozmieszczenie się po tym aszramie, każdy miał swój pokój, bo ten aszram, ja sobie wyobrażałem, no to coś, w jakimś domu rekolekcyjnym w Polsce gdzieś u księży, jakiś mały budynek, proszę państwa, tak to wygląda na jakiś luksusowy hotel. Trzypiętrowy gmach, czworobok taki, no, coś pięknego. Tam jest chyba z 30 pokoi. Każdy z łazienką, dwuosobowy, no przepiękny. No i później na dole kuchnia i refektarz, jadalnia wielka. Do góry to nie kaplica, bo to jest wspólne na zebranie, bo to nie jest dla chrześcijan zrobione. To jest na zebrania wszystkich ludzi dobrej woli. I chrześcijan, i hindusów, i wszystkich tych, którzy słuchają Boga. Dlatego w tej kaplicy nie ma specjalnie ani krzyża, ani nic. Tylko widać, że jest od razu, tylko wejść do tego pomieszczenia, to widzę, że to jest miejsce jakieś święte. Przygotowano jakby nasz kościół. No więc po tym rozmieszczeniu, i na końcu po kolacyjce pierwszej później nasza pielgrzymka na tarasie, a taras jest tak duży, że naprawdę z jednej strony nawet tutaj można grać w siatkówkę. Taki duży to jest. No i tam żeśmy sobie urządzali polskie już takie spotkania. Najpierw był różaniec, a później oczywiście i opowiadania, i przyśpiewki, i po polsku. No i przy tym trochę, kto miał jakieś zapasy, a przywieźliśmy już ze sobą, no tośmy tam wykańczali. Bo wiadomo, że tam ani mięsa, ani wina, alkoholi to tam miliard, to to nie istnieje prawie. Nie używa się, za to tak, piwo mają. Mają piwo, no i ten ojciec Kurian tam się kręcił, bo tak się mną opiekował, że ja jak mówię, byłem zażenowany, ale widząc mnie przy obiadach, przy stole, przy kolacji, że mnie czegoś brakowało. Stawiała mi wodę mineralną. No, ale ja tej wody mineralnej trochę z uprzedzeniem, bo wszyscy mówili, żeby wody nie używać, bo to nieprawda. Woda była bardzo dobra tam w aszramie ojca Mariana. W każdym razie jak żem widział, że tam nie bardzo do tej wody podchodzę, a pyta się, a czy bym może piwa nie wypił. A, piwa jak najbardziej. No i nie tylko dla mnie, od razu w całych piątników zawsze było piwo. Piwo hinduskie, bardzo dobre. No, dobrze, potem na drugi dzień naszego pobytu w Puri byłem oficjalnie, że tak powiem, pójście do kościółka ojca Mariana. On się znajduje nie blisko kolonii, jest na przedsiönku miasta Puri. Takie połączenie, żeby ci tak mało, tam dużo wiernych katolików przecież nie ma. Ale ci, którzy są i w mieście, i od strony kolonii, to jest niedaleko morza, więc żeby wszyscy mieli dostęp. I przy tym jest wspaniały widok, bo tam ze świątyni widać tę wielką świątynię Dżagannatha, hinduską, tak, że oni się łączą, to, co Maryś tam opowiadał zawsze, tam jest, oni nazywają świątynię Boga Świata, a jego świątynia to jest Pani Świata. Bo jest świątynią ojca Mariana, pod wezwaniem Matki Bożej. I tam znowu proszę państwa, cały, wszyscy wierni. I wszyscy kochający i miłujący ojca Mariana się znaleźli od razu w tej świątyni. No i tam znowu, proszę państwa, prowadzą mnie w procesji, tak jak tutaj i procesji Bożego Ciała, i całe te dzieci biedne hinduskie pięknie ubrane, kwiatki sypią przede mną, a później dopiero za mną idzie arcybiskup, i biskup, i wszyscy księża. Ale oni mnie, mnie, ja nie wiem, czy oni dlatego, że mają w religii,

w swoich wierzeniach, tę reinkarnację, czy dlatego, że oni naprawdę tak kochali tego ojca Mariana, oni ojca Mariana we mnie widzieli i chcieli zrobić wszystko, co się dało. No więc weszliśmy do kościółka, piękny kościół, naprawdę ładny. No, znowu na honorowym miejscu, mnie i naszych pątników, ksiądz arcybiskup, werbista też, odprawiał nabożeństwo, piękne śpiewy, dzieci i tak dalej. No, i w ciągu, przed ewangelią jeszcze znowu podchodzą dzieci, koronują nas wszystkich, te piękne wieńce zakładają i później mnie wyprowadzają i jest piękna rzeźba w kościele z boku, rzeźba ojca Mariana. Duży nie obraz, tylko taka rzeźba, nie wiem, czy to jakaś majolika, czy... Na podniesieniu zrobili specjalne wejście, ja musiałem iść i ukoronować ojca Mariana tą wstęgą, tą girlandą kwiatów. No, oczywiście jak już tam wszedłem do góry, widziałem z bliska, to nie tylko ukoronowałem, ale i uściskałem. No i później miałem piękną, po nabożeństwie, oficjalne wyprowadzenie z kościoła, i później dopiero mogliśmy oglądać ten kościółek z bliska. No więc naprawdę jak on to zrobił w tych warunkach, tam obok tej świątyni, obok, no, ale w pobliżu świątyni, największej prawie świątyni w Indiach tego Boga Dżagannatha, to ja nie wiem. To jakiś cud musiał być, ale jest fakt, że... No, po zwiedzeniu kościółka wracamy do aszramu naszego, obiadek i po obiedzie już wszyscy pątnicy wysłali i było odwiedzenie kolonii trędowatych. Ta kolonia trędowatych znajduje się w jakiejś odległości 500 metrów, niecałe nawet, od aszramu nowego. Więc wszyscy pątnicy wysłali naszych Polaków, bo to poszli pieszo sobie, i bardzo miło, bo tam przemiła przechadzka, a mnie arcybiskup zatrzymuje, nie pozwala iść. Mówię, tak mnie pilnowali, ja kroku nie mogłem zrobić, bo mnie nie puszczała. No więc, no dobrze, mówię, ja chcę iść też do kolonii. Nic, trzyma mnie, a ponieważ nie rozmawiam płynnie, rozumiem, ale nie rozmawiam po angielsku, więc arcybiskup, który nie zna innych języków, to nie bardzo się ze mną dogadał. On mnie trzyma za ramię, nie pozwala. Jak oni już tam zaszli pątnicy, wtedy on, limuzyna jego podjeżdża, szofer otwiera drzwi i na pierwszym miejscu mnie usadowił, a on siada z tyłu i jedziemy na kolonię trędowatych. Wjeżdżamy do tej kolonii trędowatych, i znowu co się stało, to nikt nie wiedział, bo nas podwożą pod posąg naturalnej wielkości ojca Mariana. Posąg prawdopodobnie z drzewa wydlubany, o którym nie wiedział ani arcybiskup, ani ten następca ojca Mariana, ojciec Kurian, nic o tym nie wiedzieli. To spontanicznie zrobili ci trędowaci, ci podopieczni ojca Mariana. I teraz znowu znak zapytania, właśnie do dzisiaj nie wiem i dopytuję się tylko, dlaczego to zrobili akurat, czy to dlatego, że to brat ojca Mariana miał przyjechać, czy to, że była rocznica śmierci ojca Mariana, to nikt nie wiedział, nikt mi nie umiał odpowiedzieć na to. Fakt jest, że musiałem znowu, bo on stał na takim podniesieniu, takim cokole, tam zrobili specjalne wejście. No, ja musiałem odślonić najpierw całą tę... Odślonić nie, bo ona była lekko tylko tak i ukoronować. No, oczywiście jak już tam byłem do góry, to znowu nie tylko założyłem koronkę Marysiowi, ale i uściskałem go tam. A ci trędowaci biedni naokoło wszyscy patrzą, widzę i szlochają, i płaczą, i nie wiadomo co. No i później powoli schodzimy, i zaczyna się zwiedzanie, oglądanie całej kolonii. Zjawił się oczywiście lekarz sławny, który zawsze tam był, z ojcem Marianem już pracował, hindus, bardzo porządny człowiek. I nas oprowadzał po tym szpitaliku. To jest oddział męski i żeński, i z tym że ja tam miałem, trochę słodyczy wiozłem, ciasteczek, no, ojciec Kurian nie kazał, nie kazał nikomu nic dawać, tylko, mówił, wszystko razem oddałem te wszystkie te małe zapasniki, ja tam miałem, taka siostra, chyba od matki Teresy, która tam też pracuje w tym szpitaliku, no i jej oddałem, i ona później tam rozdawała. Tylko w szpitalu męskim to ojciec Kurian mi dał znać, mówi, tamtym biednym bez rąk, albo takie kikuty tylko mieli, ale mówi, tego ja też nie zapomnę. Proszę państwa, żebyście wy widzieli tych ludzi, biednych ludzi, tych trędowatych. Żeby tam był jakiś grymas bólu, jakiś grymas złości, zazdrości. Oni uśmiechnięci, oni tacy pogodni, oni nawet a dotknąć by chcieli. Jak mówię, oni myśleli, że to Marian wrócił i to było coś nadzwyczajnego. Obeszliśmy jeden szpital i drugi później do kolonii, zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie ojciec Marian upadł, gdzie umarł właściwie. Bo on jak upadł, to już nie żył. On był ciepły jeszcze, ci biedni

trędowaci, którzy pierwsi do niego podbiegli, to on jeszcze był ciepły i tak dalej, donieśli go jeszcze do tego szpitaliku. Najpierw do swojego, później nawet chcieli próbować jechać do szpitala miejskiego go odwiedzić, ale on już biedny nie żył na pewno. I ten placyk na razie tam nie jest ani ogrodzony, nic, bo to jest na takim przejściu i wśród tych kolonii trędowatych, ale prawdopodobnie, jak mi ojciec Kurian mówił, że tam zrobią jakieś miejsce, to znak, że to będzie uwiecznione, że to jest miejsce, na którym ojciec Marian umarł. Później oglądaliśmy wszystkie te jego dzieła tam kolonii. I pamiętam, nie zapomnę, bo mi kazali siadać tam, gdzie on się zatrzymywał, w tej kuchni miłosierdzia. Tam musiałem wejść do środka, musiałem tam asystować, jak wydają tym biednym. Później poszliśmy już pod koniec, pod ten, co to są nie bananery, jak się nazywają, nie kaktusy, no, takie owoce, które ojciec Marian mówił, że on sobie siadał, musiałem usiąść na tym samym miejscu, a tamci biedni trędowaci, młodzi ludzie, oni to zbierali z tych drzew, obciążali i się piło. Co to by... Ananasy, to nie, coś takiego. No i taki napój słodkawy, bardzo orzeźwiający i bardzo zdrowy, ale ja musiałem na tym samym miejscu, co Marian siadał i ci biedni Hindusi tak się cieszyli, żeby mnie, mnie akurat, no i wiele może tych wypić, jednego, ale oni chcieli, żeby od nich wszystkich brać. No dobrze i później po tym, po zwiedzeniu kolejnych trędowatych, bo to wieczór się zrobił, więc wróciłem do kolonii. A na drugi dzień to był może, najpiękniejsze to było wyjazd do szkoły ojca Mariana. No i tam naprawdę to było przyjęcie, już coś nadzwyczajnego. Najpierw przywieźli już, to był szpaler harcerzy wszystkich w mundurkach elegancko ubrani i cały szpaler aż do wjazdu do szkoły. W szkole honorowe miejsca, oczywiście ja, ale kto się zjawia, wielki kapłan ze świątyni Dżagannatha. Staruszek taki, pocziwota. No i oczywiście, no przedstawiają, to jest brat ojca Mariana. Ściskamy się, on nic nie umiał powiedzieć, tylko ojciec Marian, ojciec Marian, tak powtarzał i ściskamy się z tym. No, nadzwyczajna rzecz. No i później on siedział obok mnie, ten wielki kapłan, i rozpoczęła się taka akademie religijna. Nie katolicka, tylko w ich religii. No i między innymi było znowu odsłonięcie takiego popiersia ojca Mariana wmurowane w narożnik szkoły, nie przy wejściu, tylko już przy scenie. Taka scena zrobiona i tam, no i znowu ja musiałem razem z tym wielkim kapłanem podejść pod rzeźbę, odsłonić ją najpierw, ukoronować i świeczki tam palić według rytuału hinduskiego i zaczynała się później, wszyscy podchodzili powoli i się obsypywało kwiatkami. Tak się używa po hindusku. Się wrzuca kwiatki nie na posąg, tylko pod nogi. No i piękna uroczystość, a później zaczęła się ta akademie i przemowę zaczął arcybiskup, ojciec Kurian. No, wielki kapłan. No i później ja też. Ja miałem przygotowane po włosku, a ojciec Kurian, ponieważ znał włoski, on tłumaczył nie na angielski, bo tam to było do dzieci właściwie, wszystkie dzieciaki to tam jak tak liczę, 400-500 dzieci. Wszyscy na kuckach równo ubrani w mundurkach. Wszystko pięknie siedzi i czeka, patrzy, się co się dzieje. No i ja po włosku miałem przygotowane tam małe przemówienie, tak ojciec Kurian tłumaczy to na język orija, na tamtejszy język ich. No i bardzo miło była przyjęta, ponieważ to jak mówię, modlitewna, no więc na końcu, ponieważ tam było kilka siostr zakonnych Włosek i się przedstawiali przedtem jeszcze, więc zakończyłem te modlitewne moje przemówienie po łacinie, zmówiłem „Ojcze nasz” po łacinie. No i było bardzo mile widziane, ale na tym się nie skończyło. Później ja sobie wracam na moje honorowe miejsce, tymczasem wywołują mnie znowu i siedzi tam wielki kapłan, ojciec Kurian i arcybiskup. I wołają. Najpierw tam opowiadają i pokazują wszystkim dyplom, wspomniały dyplom, który mam, przywozłem ze sobą do domu i ten dyplom mnie wręczają, jak mówię, wielki kapłan i arcybiskup. Zażenowany byłem, ale musiałem pójść, by oni szli do mnie. Ale ja wyszedłem naprzeciw i tak w połowie tej sali spotkaliśmy, no i ten dyplom mi wręczyli. Ja podziękowałem pięknie, i później musiała się skończyć akademie do tego, bo to już było późnym wieczorem. No i było to nieszczęście, czy może dlatego, że tam były wielkie gorączki i było nadużycie prądu, i urywał się co chwilę prąd. Oni mieli swój agregator, ale zanim go puścili i tak dalej, to częste było przerywanie tego prądu. No i tak się wcześniej skończyło,

niż było przewidziane. Ale niezapomniane spotkanie. I to później mnie towarzyszyło takie spotkanie, takie uroczystości wszędzie, gdziekolwiek bym nie był. A byłem naprawdę we wszystkich miejscowościach, gdzie był ojciec Marian, gdzie pracował. A na drugi dzień co się stało, że w tym małym aszramiku, w tej kapliczce u ojca Mariana znowu te dzieci, które były ze szkoły ojca Mariana, wszystkie poszły do tego małego aszramiku i tam było, najpierw msza święta i nabożeństwo, a później akademia taka na wolnym powietrzu, tam wspaniały, piękny park miał ten Marian. No i śpiewy, tańce i tak dalej. A na końcu ojciec te dzieciaki, a ich tam, mówię, 400-500 dzieciaków. Wszystkie z rodzicami i tak dalej, same dzieci zrobiły taki szpaler naokoło sadzawki, która tam się znajduje pod palmami, przepiękne miejsce i ojciec Kurian bierze, i mnie prawie popchnął, żebym ja tam między ten szpaler poszedł. Mówię, żebyście wy wiedzieli te dzieciaczki, to ich zadowolenie, żeby one mogły dotknąć mnie, moją koszulkę, czy moje spodnie, cokolwiek się dało. Rączki wyciągają wszyscy. I to ich zadowolenie, bo ja mówię, że oni chyba widzieli Mariana we mnie.

Anna T. Pietraszak: No to malutka przerwa. Wspominamy ojca Mariana od samego początku waszego życia, jak urodziłeś się, Wacku, i miałeś tam te swoje parę lat i pierwsze wspomnienie, jakie masz w życiu od samego początku ojca Mariana. Jak byliście malutcy, co pamiętasz?

Wacław Żelazek: Co pamiętam? Więc przede wszystkim to, że ja z Marianem to jestem prawie rówieśnik. On jest o rok i kilka miesięcy starszy, ale całe nasze i dzieciństwo, i młodzieńcze lata spędzaliśmy razem. Pierwsze nasze kroki, szkoły do gimnazjum, razem z Marianem chodziliśmy do jednej, tej samej klasy. Chociaż on był, mówię, starszy, ale chodziliśmy zawsze, dopóki byliśmy w gimnazjum Marii Magdaleny, zawsze razem. I Marian był raczej tuszy, co myśmy go nazywali grubaskiem, grubas. A ja byłem sobie chudziutki, urwis niesamowity. Wiem, że w szkole na przerwach to myśmy odstawiali baranów. Ja na barki Marysia i wszyscy koledzy tam mieli swoje pary, i były podchody takie, kto kogo pierwszy zwali z tego barana. No, profesorowie, ale to wszystko grzeczne było, bo to gimnazjum Marii Magdaleny to jest taka sława i taka powaga, że tam nie można było robić wybryków żadnych. Ale zabawa była. I gimnastyka przy tym. W każdym razie wiadomo, że ojciec Marian już z trzeciej klasy, na początku trzeciej klasy opuścił gimnazjum Marii Magdaleny i poszedł do werbistów, do małego seminarium w Górnej Grupie Werbistów. A ja zostałem sam. I prowadziłem dalej trzecią klasę, czwartą klasę. Skończyłem czwartą klasę Marii Magdaleny, a potem było gimnazjum, zaczynało się od pierwszej do ósmej, z tym że, wracając jeszcze do gimnazjum, to trzeba powiedzieć, to było najświetniejsze gimnazjum w Polsce. Jeszcze było drugie takie świętej Anny w Krakowie, a potem Marii Magdaleny w Poznaniu. Nas na pierwszym renglonie, co mogę udowodnić, bo mam tutaj jeszcze świadectwa z tych czasach, była religia. No nie było dyskusji, przecież kto w Polsce przedwojennej się pytał, czy ktoś chce religii, czy nie chce. To jest religia, kościół, to Polska. Tam nie było żadnych wyjątków i wszyscy rodzice jak już poszedł syn do gimnazjum, to był Polak i katolik. I oczywiście od religii się musiało zaczynać. No i mieliśmy dwóch wspaniałych wykładowców, księży kapłanów, był takie kanonik, pamiętam, Janicki się nazywał, który zginął później w czasie wojny, zamordowany przez Hitlerowców. I okazuje się, że drugi renglon w naszych świadectwach to był język polski, trzeci łacina. Łacina. Uczyli nas od pierwszej klasy do ósmej do końca. Łacina to była najważniejsza nauka w tej szkole. I ja tej łacinie, to teraz mogę powiedzieć tak naprawdę szczerze, że najwięcej chyba w życiu zawdzięczam. Ja wszystkie języki łacińskie przynajmniej, to ja się nie uczyłem, one przyszły same. Włoski, hiszpański, francuski, portugalski. A mówię wam, przynajmniej hiszpański to jest drugi język świata. Z hiszpańskim można pojechać wszę-

dzie i się dogada. To jest drugi język świata. I to ja się nie nauczyłem. No, a dzisiaj wolę rozmawiać po hiszpańsku, czy włosku, czy francusku niż po polsku, bo całe prawie życie spędziłem tam na Zachodzie, a to zawdzięczam łacinie w gimnazjum Marii Magdaleny.

Anna T. Pietraszak: A teraz wróćmy do ojca Mariana. Jakim był synkiem, jakim był bratem, a jakim był uczniem? Jakim był synkiem? Marian był bardzo spokojny. Zupełnie inny niż ja, bo ja mówię, ja byłem raczej urwis, on bardzo spokojny, bardzo opanowany. Oczywiście wybryczki takie nasze młodzieńcze to tam były Pamiętam, raz gdzieś właśnie on tam opowiadał, zresztą w swoich książkach jest to, nasza miejscowość tam w Pałędziu, do miasteczka, do wioski to był jakieś półtora kilometra i łączył nas na pole naszych ojców, naszych rodziców, później były już pola krewnych naszych różnych, wujków i tak dalej, i dzielił taki rów. Myśmy wracali, nie wiem, odwiedzali babcię w Pałędziu we wsi i wracamy. I wracamy, jeden z wujków idzie, a my się tam popychali tak, nad rowem, więc on się poskarżył naszemu tatusiowi. A nasz tatuś był bardzo powściągliwy i nigdy nas, a ponieważ ten wujek został i tam pewnie coś ojcu opowiadał, ten nas widział, że myśmy się tam popychali i że... I wtedy jedyny, jedyny raz tośmy obydwoje dostali taką szczypliną, taką, to była taka, no, drewno takie i tam były rzemyki poprzyklejane, powieszona, który my często chowali i zresztą w domu u nas rodzice bardzo rzadko to używali. Ale wtedy pamiętam, to oficjalnie dostaliśmy od tatusia, bo mama nigdy nie. Bo Maryś zresztą był... a my już chłopacy i już od... ja nie wiem, od szkoły podstawowej, a później gimnazjum, to myśmy tylko w kościele ministrantami byliśmy wszyscy. No, a ministrant wiadomo, wtedy to się odmawiało całą ministranturę po łacinie oczywiście. A dla na to było nic. Bo ta łacina kościelna to nie jest ta... Znaczący, właśnie łacina jest ta sama, tylko to jest zupełnie uproszczona. Nie ta łacina klasyczna, Homera i tak dalej. To jest zupełnie inna, ale dla nas ta kościelna łacina to pestka. No, i później wiadomo, był jako ministrant, wiem, że był ten brat Jan Tyrała, Zmartwychwstaniec, który opiekował się nie tylko kościołem i ministrantami, ale były jeszcze kapliczki obok takie, to Maryś był wydelegowany przez tego brata jako specjalnie, że on był takim zakrystianinem jednym z tych kaplic. No, więc miał wielkie i już wtedy było widać u Mariana, że on był już więcej Bogiem żył niż z ludźmi. On był już, jego powołanie to przyszło gdzieś z nieba. I tak dalej się prowadził, no i później, jak już poszedł do małego seminarium, to właściwie się, bo wtedy... A jeszcze wracajmy do tego, o, że wtedy szkoły były płatne. Się płaciło czesne i to jakie czesne. Tam byle kto nie mógł, za darmo nic nie było. A ponieważ nas była liczna rodzina, a później rodzice, było trudno, a wszyscy się uczyli, no więc ponieważ była liczna rodzina, to dawali wielkie zniżki, ale płacić trzeba było. I Marian w małym seminarium też musiał płacić. To nie jest jak dzisiaj, wołają i szukają, żeby poszli, zwłaszcza do seminarium. A dawniej nie, się płaciło. To tam Maryś opisuje w jednych swoich wspomnieniach, jak się chodził modlić, żeby to czesne, tam nie wiem, to było 30 złotych, zdaje się, żeby mógł pójść do seminarium, ale żeby ojciec nie musiał płacić. I wreszcie zrobili tak minimalną opłatę, że wyprosił u Matki Bożej, żeby do tego seminarium mógł pójść. A że jeszcze poszedł, to przyjechał taki misjonarz werbista, tam do ministrantów, do kościoła księży Zmartwychwstańców i ten misjonarz zebrał takich starszych ministrantów, Maryś oczywiście był wśród nich i zaczął opowiadać o misjach. I to o Argentynie, bo on przyjechał z Argentyny. No i tak opowiadał rzewnie, że Maryś od razu po tym spotkaniu wziął do tych werbistów i misjonarzem będzie. I stąd się zaczęło, że zaczął to staranie, i udało mu się dostać do Górnej Grupy. Ja do tej Górnej Grupy, pamiętam, raz chyba tylko pojechałem. Bo zresztą ja jako mały chłopiec z Poznania to ja najdalej to jechałem, to chyba do Marysia do Górnej Grupy, do Grudziądza. On tam, Górna Grupa niedaleko Grudziądza. A poza tym to nigdy, bo myśmy mieli wszystkie te między ministrantami, różne towarzystwo przy kościele, wszystkie wycieczki, ale koło Poznania. Te wszyst-

kie majówki i tak dalej, Warta, wycieczki nad rzeką Wartą. No więc to wszystko się działo przy kościele. I tylko udało się, to było wielkie wydarzenie pojechać do Marysia, odwiedzić go tam. No, ale później już się zaczęło, bo ja krótko potem pojechałem już, to opowiadałem poprzednio, wyjechałem w świat. Chyba z tej licznej rodziny to ja pierwszy opuściłem rodzinę i świat, i Polskę raczej. I pojechałem do Włoch. Pojechałem niby z taką pół, nie wycieczką tylko na wystawę. Na wystawę, pamiętam, prasy katolickiej. A ponieważ ja byłem ministrantem i ciągle ten Przewodnik Katolicki mi się wydaje wielki, i później dostał pierwszą nagrodę tam w Watykanie. Właśnie Przewodnik Katolicki. Wydawnictwo Świętego Wojciecha w Poznaniu, pamiętam. Zawsze przed kościołem, bo tam była wielka parafia, tam było chyba 30 tysięcy, to nasza parafia na Wildzie księży Zmartwychwstańców to myśmy tych przewodników to pamiętam, ja nie wiem tego, tak obliczam na jakichś 500 sztuk co najmniej. A później jeszcze przed tym była gazetka, tygodnik parafialny, „Kościelny” się nazywał. I każdy ministrant przy wyjściu z kościoła, poza kościołem z tymi gazetkami, kto więcej sprzedał, to miał tyle procentów tych gazet, a to szło do kasy ministranta. Do tego stopnia, że nasze towarzystwo tych ministrantów to najwięcej się udzielało dobroczynnie dla parafii. Największy dzwon kto ufundował? Ci ministranci. Ołtarz jeden, co był, boczny ołtarz, najpiękniejsze, kto? Ministranci. Tam były przedstawienia, była sala parafialna, przeróżne przedstawienia. No i się świętowało tam imieniny, uroczystości proboszcza, księży, tego brata Jana, wielkie przedstawienia, zbiórki. Pamiętam, raz prezes tych ministrantów wychodzi ze sceny i imieniny proboszcza. I niesie mu tacę taką i na tej tacy biret. Biret to jest to przykrycie księży, co dawniej używane było, teraz nie widzę, mniej. I ten biret na tej tacy. Myśleli wszyscy, że mu podaruje nowy biret. On podnosi ten biret, a tam się rozleciało, cała kupa była, cały wypełniony biret był pięciozłotówkami przedwojennymi. To były srebrne pięciozłotówki. No i to znowu ministranci. Więc byliśmy tak, ufundowali, przesiąknięci tym kościołem i patriotyzmem, bo dbał, żeby tam święta narodowe, 3 maja, to nie tylko, to było święto kościelno-polskie, patriotyczne. To wszystko się zaczynało od kościoła. To wszystko się zaczynało przy kościele, tak że to jest trudno sobie wyobrazić. No, jeszcze wracając do ojca Mariana, to ja go pożegnałem właściwie wtedy, jak go odwiedziłem w Grudziądzu. Ja pojechałem w świat, no, a on i jego los to już znany jest. Skończył między innymi tamto małe seminarium, poszedł do Chludowa do nowicjatu. Chludowo jest niedaleko. Przepiękna miejscowość pod Poznaniem. Tam w Chludowie zastała go wojna w nowicjacie, jako kleryka już. No i została go wojna i wiadomo, jak oni uciekali, to wtedy to miało, w samym tym Chludowie było około 30 nowicjuszy, tych młodych seminarzystów. No i uciekali najpierw w stronę Warszawy, bo Niemcy to Poznań zajęli prawie, już czwartego, piątego dnia. Chludowo jest tuż za Poznaniem, 20 kilometrów od Poznania. Więc oni uciekali, część, pewnie też myśleli, młodzi ludzie, wtedy 20-letni, więc do wojska pewnie. No i później też Warszawę zajęli, okrążyli, wojna i wracają. Wracają no i później już Niemcy zapanowali i z tego Chludowa co zrobili, tam wszystkich księży, nie tylko tych zakonników, ale i księży świeckich zwozili najpierw do tego, bo to był duży obiekt, mieli gdzie ich umieścić i na wieś, wszystkich umieścili w tym Chludowie. No i później co starszych, co bardziej, bo oni mieli tam spisy, kto był bardziej zasłużony, kto większy patriota, wywozili do obozów do Niemiec. Kilku przechodzili zawsze przez siódmy fort Poznania, bo cały Poznań jest otoczony takimi fortami, Niemcy to jeszcze pobudowali. I tam dwóch takich werbistów tam w tym siódmym forcie zamordowali. Inni dalej wieźli werbistów i księży, dalej do obozu i wreszcie przyjechali i zabrali wszystkich. I tych kleryków też. Werbistów. I z Marianem razem też przez, najpierw siódmy fort i później zawieźli do Dachau.

Anna T. Pietraszak: Byłeś w Rzymie i kiedy dostałeś pierwsze wiadomości o ojcu Marianie, czy o rodzinie?

Wacław Żelazek: Jak się skończyła wojna, to był rok 1944, we Włoszech się już skończyła, w 1945, początek 1945. Myśmy mieli w Korpusie naszą gazetkę, która szła. Codzienna gazetka wychodziła dla żołnierzy do tych obozów polskich i był oczywiście arcybiskup Gawlina, który wszystkie wiadomości zbierał, zwłaszcza on się interesował księżmi, zakonnikami i tak dalej. I pamiętam, raz było takie zebranie, taka akademія i tam występował ksiądz arcybiskup Gawlina i ogłosił nam, że jest obóz, oswobodzili akurat obóz w Dachau i wyliczał, że między tymi zakonnikami, księżmi, którzy się uratowali, są werbiści. No, jak on mówi, że są werbiści, to ja pamiętam, do tej kurii koło arcybiskupa, jeszcze kręcili różne, no i do nich mówi, a czy taki jest? Tak, jest na liście, jest Marian Żelazek też. Arcybiskup wtedy był księdzem, Majdański i innych tam wyliczał, których później Marian tutaj odwiedzał. I Jeż arcybiskup, ksiądz Jeż. No i okazuje się, jak ja się dowiedziałem, że Marian jest, to oczywiście gdzie Marian, że jest w obozie, oswobodzony, że przeżył, więc robiłem wszystko, a ponieważ ja miałem trochę tam chody, bo byłem w Komendzie Placu, więc miałem chody, więc mówię, trzeba koniecznie wysłać jakiś środek lokomocji do Dachau, żeby ściągnąć go. Bo ja nie myślałem tylko o Marianie, tylko w ogóle księży, bo Polska jeszcze była pod okupacją, jeszcze front tam się nie przerwał, jeszcze dalej była wojna. Więc... no i rzeczywiście udało się zor... Nie z mojej racji, tylko w ogóle. Anders tak zorganizował, że pojechały dwie ciężarówki, polskie nasze wojskowe, żeby zabrać, kogo się da z Dachau i przywieźć do Włoch. Oczywiście dojechali do Dachau, to Marian chyba jeden z pierwszych mówi, że on nie w inną stronę, tylko chce jechać do Włoch. On wiedział, że ja już jestem, sprzed wojny tam, wiedział, że ja jestem w Rzymie we Włoszech. No więc do Włoch raz, a później werbiści, on już był werbista, oni tam mają swój wielki dom. Seminarium, tam dom generalny werbistów. No więc przyjechał, no i tam było nasze spotkanie. Spotkali się akurat, jak przyjechał, już czekaliśmy razem z bratem, z Kazimierzem. Czekaliśmy w Rzymie na przyjazd Mariana.

Anna T. Pietraszak: I jak wyglądał, jak przyjechał? Jak wyglądało to spotkanie?

Wacław Żelazek: No, przyjechał oczywiście trochę w łachmanach, taki... no i wycieńczony, bo wycieńczony jak wszyscy jeńcy. Ale poznaliśmy się od razu. Poznaliśmy się, oczywiście uściski, radość niesamowita, ale od razu Maryś mówi, nie, ale ja nie, ja go od razu już zapraszam do mnie. Nie, nie, nie, ja pierwsze jadę do naszego domu werbistowskiego. No i odstawiliśmy go do tego domu, a my w swoje strony, do naszych obowiązków i później, ponieważ ja w Rzymie, to już było krótko przed moim ślubem. No więc ja byłem w starym Rzymie, no i albo ja chodziłem tam do Marysia, odwiedzać do tego seminarium, do werbistów, albo się gdzieś spotykaliśmy w Rzymie. Albo przychodził chyba 2-3 razy do mnie do domu tam. Do domu już mojej przyszłej żony. Ale na ślubie nie był. Po ślubie dopiero przyszedł do domu.

Anna T. Pietraszak: Czy ojciec Marian mówił o obozie, jak było w obozie koncentracyjnym?

Wacław Żelazek: Bardzo oszczędnie. A nawet było mu... Myśmy też oszczędnie pytali się, a on chciał o wszystkim nie pamiętać. Ja ze złością się wyrażałem, z nienawiścią nawet do Niemców, do tego, co zrobili z Polską i z Polakami, a on cicho. Nie wiem, czy nawet przeszkadzał mi, mówi, nie, boże zrzędzenie, bozia tak chciała. Dla niego to był obóz koncentracyjny, to było takie przygotowanie do jego misji w świecie. Tak on miał, jakby... Zresztą on tam później opisuje i mówi w swoich przemówieniach, że on tam w obozie, widząc śmierć tych swoich towarzyszy niedoli,

widząc te wszystkie bestialstwa, jakie dokonywali na nim i na jego towarzyszach, to mówi, że on się wtedy, jakby utrwaliło to jego powołanie do tego, żeby... o, jego marzeniem było, żeby za tych zabitych pracować, za tych umarłych księży i zakonników, którzy tam zginęli, żeby on mógł ich dzieło nie tylko poprowadzić, ale powiększyć jeszcze. A mówi, to mógł zrobić właśnie, żeby się oddać misjom, na misje pojechać. No i to było zawsze jego życzenie, ale nigdy nie chciał ani rozmawiać, ani opowiadać, ani że tak powiem, wyrażać się niedobrze o tych obozach i o tym, co tam przeszedł. Tośmy, no i miejsce było, to jakby mu przeszkadzało rozmawiać o tym. I myśmy to respektowali. Zawsze się rozmawiało o wszystkich innych, raczej weselszych rzeczach, ale o obozach to nie. On sobie, on nie chciał. On przebaczał wszystko, on nie chciał o tym pamiętać. Cieszył się tym, że bozia go uratowała, że mu dała życie i on chciał się odwdziżyć jakby za to, że został ocalony. No i jego później to odwdziżenie to się okazało tym wszystkim, co w ciągu życia dokonał. A że dokonał rzeczy wielkich, to teraz wszystkim wiadomo, a ja specjalnie jestem świadkiem tego, bo tam byłem i widziałem.

Anna T. Pietraszak: Potem już jak przyszedł do was jako młodej pary poślubionej, to, jakie było to spotkanie z żoną i z Wackiem?

Wacław Żelazek: No, żonę poznał jeszcze przedtem, tylko nie mógł być na ślubie. To znaczy dla młodego kleryczka tam, no po prostu jego obowiązki nie pozwalały mu być, ale zaraz przyszedł na poślubną, takie przyjęcie było w domu. Najpierw było w takiej restauracji, niedaleko tam tego kościółka. Z kościółka się szło do takiej restauracji i dla wszystkich obecnych było takie przyjęcie, ale nie weselne. A obiad to był w domu mojej teściowej, w domu, w ich domu, to później najbliżsi i tam by miał być Marian. Był Kazimierz, mój brat, byli moi koledzy z wojska i ci księża, którzy dawali nam ślub, ale Maryś nie był, bo my zaraz, Komenda Placu nam wyznaczyła na podróż poślubną taki hotel poza Rzymem. Bo nie było można wyjeżdżać gdzieś daleko na jakieś podróże poślubne, więc do tego hotelu. Myśmy po obiedzie tam potem, a to myśmy tam do tego hotelu, przyjechały nasze środki lokomocji wojskowe i nas pod ten hotel, który był zresztą zajęty przez Polaków, tak? No i myśmy w tym hoteliku tam mieli zarezerwowany nasz pokój i zjawia się Maryś wtedy do hoteliku. Poszedł najpierw do domu, a myśmy już pojechali. No, to nas odwiedził tam w hoteliku. No, przemiłe spotkanie, ale ja mówię, myśmy się już znali, moją żonę znał przedtem. Jako kleryczek przychodził ze 2-3 razy do domu, więc się znali, ale no, już później poślubieni, no i było przemiłe spotkanie, ugościliśmy go pięknie, no i on musiał wracać, bo wtedy ci werbiści, to teraz to już widzę taka swawola, że powiem. Przedtem to było rygorystycznie, bo ten cały zakon to jest prawdziwie niemiecki. Tak że ja pamiętam, wiele razy ich odwiedzałem, był taki brat Purcian w tym ich domu generalnym w Rzymie, to tak rygorystycznie, przez jeden dzwonek, drugi dzwonek, dopytywać się, pozwolenie od rektora, czy tak, żeby zszedł na dół. Marian, żeby mógł ze mną porozmawiać. Wielki rygor. Teraz jest zupełnie inaczej. Teraz to i w Rzymie, a już w Polsce to nie mówię, to jest jedna rodzina. Ja jak zajeżdżam do nich teraz, to oni zaraz pokoje zarezerwowane, zgromadzą mi, opowiadają i idziemy później do góry na kawkę, przy telewizorze, trochę ich pouczam też, nawracam nie raz, bo się niekiedy, jak to Polacy, wychowani w czasie tego niecnego reżimu komunistycznego przesiąknięci też, no i też potrafili nie raz tam i psioczyć na Radio Maryja, na księdza Rydzyka, to ja ich nawracam. No i mówię, panowie, księża drodzy, jedyny nasz, który nas może Polskę ocalić, to jest ksiądz Rydzyk właśnie. Wielki patriota i Polak. No dobrze, i tak jak mówię, z Marysiem w tym Rzymie nie długo się nacieszyliśmy, bo ja chyba rok tylko byliśmy razem w Rzymie. I ja dalej wyjazd z Rzymu z całą rodziną do Argentyny, a Maryś pozostał tam dalej, kończył swoje studia i jeszcze dwa

lata. Po dwóch latach został wyświęcony na kapłana, na księdza, no i z wielką radością, ja już byłem w Argentynie, ale utrzymywaliśmy kontakt. Mam cały plik papierów, tu zabrał ojciec Kubicz, to wszystko poskładał. Mi zrobił całe archiwum z tego. Listy, jakie sobie pisywaliśmy. Do Anglii najpierw, do mnie, do Anglii nie było dobrej komunikacji, to do mnie i ja do brata drugiego. Taka trójka. Aż później brata z Anglii ściągnąłem do Argentyny, no to znowu szło wszystko z Polski, jak zaczęła się nawiązywać komunikacja, to ojciec do Mariana, Marian do nas do Argentyny, albo my dostaliśmy gdzieś drogą okrężną wiadomość, to z Argentyny do Mariana i jak mówię, cały plik takich listów, które zabrał mi ojciec Kubicz, oprowił, przygotował, posegregował i mam tutaj, mogę wam nawet pokazać. No, i okazuje się, że udało się Marysiowi i jego wielkim marzeniem było zobaczyć jeszcze naszą mamę. No i zaraz po święceniach w 1948 roku, jak mówię, Polaków było strasznie brak, a były te osiedla polskie, bo już żołnierze wyjechali, ale osiedla zostały. To go zrobili od razu takim kapelanem w takim osiedlu niedaleko Neapolu, w polskim osiedlu. Taki kapelan, tam kapelanował, jak to wyglądało, to nie wiem. Wiem tylko, że takie osiedle było aż do czasu, kiedy nie wiem, jak też, ale udało mu się pojechać do Polski na krótkie wakacje. Na takie spotkanie właśnie i tam spotkać się z mamą, która później, rok potem umarła. A jego wielkie marzenie, jego szczęście, tę mamę już tak kochał, chciał ją zobaczyć, jako ksiądz, jako kapłan. No i to spotkanie to tam opisuje i mi opowiadał, mówi, było coś tak rzewnego, tak wzruszającego, że ta mama może z tego wzruszenia całego to może też i pochorowała się. No i my później zaraz, w 1950 roku pojechał do Indii, a wtedy pierwszy pobyt to był 10 lat. Dopiero mógł przyjechać do Polski z tych misji. Po 10 latach dopiero raz przyjechał do Europy. Oczywiście przyjechał przez Rzym, no i później pojechał do Polski. A ja byłem w Argentynie, bo myśmy tylko listownie wiedzieli o każdym kroku i o każdym jego ruchach tośmy się informowali. No i wreszcie już takie dłuższe spotkanie to było w 1960 roku, jak ja wróciłem na spotkanie drugiego brata, księdza Stanisława, Zmartwychwstańca. Przyjechałem i właściwie wróciłem na stałe do Włoch z Argentyny. I wtedy przyjeżdżał Maryś, to już był ten dziesiąty rok, kiedy już zaczynały się jego, później co pięć lat przyjeżdżał, a później już co drugi, a nawet ostatnio to co roku przyjeżdżał do Polski leczyć się i odbierać różne nagrody, i asystować przy tych sympozjach, przy konferencjach i tak dalej. No i w tym 1960 roku najpierw spotykam jednego brata, i później przyjechał Maryś i spotkali się cała, dwóch tych braci księży i ja, ale ja jakby zupełnie z całą rodziną. I nawet raz, pamiętam, było takie zebranie u mnie w tym Arpino, w domu rodzinnym, do którego ja z Argentyny, jak wróciłem, to tam w tym Arpino, w domu mojej rodziny włoskiej. Willa duża, wspaniały dom. No i tam żeśmy urządzili spotkanie. No i też pamiętam, ja wtedy miałem samochód, zaraz kupiłem, tylko przyjechałem z Argentyny, pierwsze co kupiłem sobie samochód, żebym się mógł poruszać. No i jak Maryś przyjechał, tośmy z Marysiem objeżdżali najpierw ich placówki tam w Rzymie, oni pod Rzymem, niedaleko tej siedziby, gdzie jest ojciec święty, Castel Gandolfo, jest taka miejscowość bodajże Lago Nemi, nad tym jeziorem mają wspaniały dom, wybudowali go ci werbiści, oni tam mają architektów, budowniczych. Oni musieli swoich, to jak mówię, niemiecki zakon, rygor i tak dalej. Oni pobudowali sobie sami we własnym zakresie. Wspaniały dom, który miał być dla tych misjonarzy, którzy wracają ze świata po pracy misyjnej, odpoczynkowy taki i rekolekcyjny. Pamiętam, zawiozłem Mariana do tego, piękny, mówię, w lesie kasztanowym, zjeżdża się na dół, jezioro, starożytne jezioro, gdzie jeszcze były, wyciągali, było muzeum przy tym jeziorze, starych okrętów rzymskich z czasów rzymskich Wyciągnęli z tego jeziora i tam zrobili muzeum i można było oglądać, i przy tym jeziorze pobudowali sobie werbiści ten dom. Pamiętam, zwiedzamy ten dom i Marian ogląda tę wspaniałą budowlę. Nawet, że tak powiem, on może się trochę, myśląc o tym domu tam w Nemi, o Lago Nemi się nazywa. Myśląc o tym, to pewnie jak budował ten aszram, to pewnie coś w tym rodzaju chciał zrobić u siebie. No i okazuje się, ogląda to, ogląda, a wtedy on był biednym misjonarzem. Dopiero zaczął tam swoją pracę. I pamiętam, że spotkał

rektora, który prowadził to seminarium, Austriak, Niemiec austriacki, który był gdzieś tam jego rektorem. Gdzieś był jego przełożonym. No i spotykają się, piękne, pamiętam do dzisiaj, jak Maryś się zwrócił na końcu, mówi, ojciec, mówi, tutaj takie wspaniałe rzeczy, taka piękna budowla. Zamiast tego, mówi, jakby tu dobrze było zrobić, na misję dać to wszystko, bo to mówi, za wielki przepych, za wielkie rzeczy, mówi. A by to dobrze było na misję oddać. No i... ale on był krótko, tak, a ja zostałem osiem lat.